

*Motyl odleciał, zwyczajnie zniechęcony-
obojętnością.*

Fingerling

Tak czysto pamiętam tamten spacer, jakbym stała na krawędzi zdjęcia. Był niczym niespodziewany prezent wyrzucony przez kapryśny prąd na kolumbijskie wybrzeże. Uparcie powracające wspomnienie było zaczynem tej opowieści.

Sen nie przychodził. Wściekałam się, próbowałam wszystkich sposobów — liczyć barany, recytować wiersze, pić mleko, brać zimny prysznic — nic nie pomagało. W końcu udręczona, w środku nocy, wymknęłam z przegrzanego mieszkania na pobliską plażę. Traktowałam ją trochę jak przyjaciela. Nie było słychać ptaków, plusku fal o stromy brzeg, przez moment nawet ucichł szept wiatru. Latarnie morskie porozumiewały się okruciami światła. Szłam wolno, krok za krokiem, przyglądając się grze cieni na piasku. Po dniu pięknym, ale samotnym lawina obrazów budziła we mnie smutne refleksje. Układały się w długie wstęgi, powodując w głowie rwetes.

Nigdy nie zapuszczałam się dalej jak do linii wydm. Ktoś życzliwy nazwałby je laskiem. Byłam już blisko, gdy w płaskiej plamie księżycy dostrzegłam rosnącą postać zbliżającą się z na przeciwka. Trochę dziwiła, gdyż mężczyzna wymachiwał w moim kierunku latarnią w wyciągniętej ręce. Nie udało się go wyminąć, przez moment igrał jak kot z myszą. Pochylony, z rozwianymi włosami, niemodną apaszką we wzorki i dużymi okularami w plastikowej oprawie mógłby być zbłąkanym naukowcem. Tkwiłam w niespokojnym oczekiwaniu. Po chwili podszedł i lustrując mnie od stóp do głowy, zapytał z przyjaznym uśmiechem pod śmiesznymi okularami:

— Idealna przestrzeń do przemyśleń, prawda? A co ty tu robisz, księżniczko?

Przyglądał włosy i skłonił się głęboko.

Przystanęłam, przetykając ślinę. Dreszcz bezruchu. Nie wiem, czy te drażniące uszy słowa rzeczywiście padły, ale odpowiedź sama cisnęła się na usta:

— Nie widać? Uciekam przed rzeczywistością. Świat bywa zły — i to jak! Na wiele spraw brakuje słów. My, ludzie, wciąż tracimy czas, niszczymy przyrodę, marnujemy surowce i przestrzeń. To jak otwarte rany. Goniący za zyskiem cywilizowany człowiek niszczy ziemię, z której się wywodzi, burzy naturalną równowagę środowiska, zbliżając się do momentu, w którym spowoduje własną zagładę. Podle i głupio traktuje innych. Pograża się w przemoc i barbarzyństwie, w niewierze w możliwość między ludzkiego porozumienia. Czasem zdaje mi się, że przerobiliśmy już wszystko, spełniły się wszystkie scenariusze i pozostaje zmierzyć się tylko z samobójczą śmiercią, nastroić się na nią. A, śmierć mnie też nie obchodzi, nie mam do tego truchła zaufania.

Przyglądał mi się spokojnie.

— Znam ten stan, wcale mnie nie dziwi. Dąszasz się na ten podły świat, nic nie robiąc, by go zmienić.

— Ja?

— Tak, ty, ale nie przejmuj się aż tak. Piękną rzeczą jest spotkać nocą, na żółtej czaszy piasku, wrażliwą, refleksyjną dziewczynę o szarych oczach. Tyle mi dano. Nie wiem. Dużo to, czy mało?

Nie tego oczekiwałam, zbił mnie z tropu. Potrzebowałam chwili, by odpowiedzieć.

— Filtrujesz mnie przez własne ego i oceniasz. A tak na serio, staram się nabrać dystansu do ciemności i głupoty. Tak, tu mi lepiej, przestaję się bać, myślę o kontrataku, do głosu dochodzą jaśniejsze tony. Ciągle jestem gotowa otworzyć się na miłość i gwałtowność piękna.

— Więc, jeszcze nie rośnie drzewo na twoją trumnę?

— ???

Podmuch wiatru porwał mój głos. Nieznajomy rozłożył ramiona, jego twarz rozjaśniał szczery uśmiech.

— Oto piękno i mądrość właśnie stanęły przed tobą. Nie szukaj wymówek, przytul się tu, do tej włochatej piersi i niech bzdury przestaną ci chodzić po głowie. Proszę, nie traktuj tej propozycji, jako promocyjnej przechwałki.

W tym bezsensie, mieści się sporo sensu, a do tego kapka zdrowego humoru, przemknęła myśl.

Dylemat trwał tylko kilka sekund i z jakiś nieodkrytych do końca względów zrobiłam to, o co prosił.

W głębi marynarki stanęłam w ogniu, czując zapach jego potu i wody toaletowej.

— Dobrze, skoro to już wszystko.... Mam na imię Roth.

— Jane.

Pogłaskał mnie delikatnie po policzku i odszedł. Zamknęłam oczy, poruszona myślą: *a jeśli wierzyć w to, że w życiu nie ma przypadków...*

Gdy wracałam do domu miasteczko wołało:

— Witaj z powrotem, Jane!

Trzy tygodnie po tym, właśnie jadłam śniadanie. Mój mąż odebrał telefon:

— Cześć, mówi Roth, jest Jane.? Nie wiem, czemu wybrałem knajpę ze stekami, chyba do niej nie pasują. To błąd, ale chciałem zaprosić was na lunch...

W jakimś mglistym przeczuciu czekałam, że zadzwoni, odnajdzie ... Wymienił datę, miejsce. Bez

wahania przyjął zaproszenie. Przerwana historia toczyła się dalej.

Roth czekał z otwartymi ramionami, pewny i gotowy. Restauracji przyglądałam się z zakłopotaniem, miała swój klimat i topografię. Zakurzone ściany o tradycyjnej konstrukcji, kontrastujące z różnokolorowymi okiennicami, spieczona podłoga, linia naczyń rozciągająca w stronę długiego zlewu. Steki były źle przyprawione, wysuszone, jak skóra gorącym, ale wino z winogron, cudownie chłodne, naprawdę doskonałe.

Gęstniał mrok, knajpa dawno opustoszała, a przy stoliku, wciśniętym w najciemniejszy kąt starannie wybrukowanego patio, nadal siedziało troje rozdyskutowanych ludzi. Jak łatwo się domyśleć, byłam to ja, mój mąż oraz rosły, rozgorączkowany mężczyzna o wielkich dłoniach i jeszcze większym sercu, znawca wina, który tuż po studiach zakochał się, bynajmniej nie w dumnych tygrysach, nosorożcach, koalach czy w innym ginącym gatunku, o którym teraz tyle się pisze, ale po prostu w motylach.

Mówił z szaloną ekscytacją, usiłując nakarmić wiedzą naszą wyobraźnię. Trudno było nadążyć. Uzupełniał wywody o liczne retrospekcje, ostro oceniając rzeczywistość, nie tylko południa. Każda informacja prowadziła do kolejnej, a ta do następnej, podsuwała obrazy, jak z tłuczonego szkła. Wszystko, jego widzenie, plany wydawały się tak prawdziwe, oczywiste, jakbym trafiła do innej bajki. Moją czujność początkowo tępił upał, aż nie wytrzymałam i podobnie do grymaśnego dziecka, które, gdy zetknie się z książkami i nie od razu połyka bakcyła poznawania świata, wydusiłam zniecierpliwiona:

— Naprawdę, motylom grozi zagłada? Chyba przesadzasz!? Zaraz po chrząszczach stanowią drugą pod względem liczebności grupę owadów, występują na wszystkich kontynentach, no chyba oprócz Antarktydy.

Twarz Rotha pociemniała. Nerwowo zamrugał. W środku wydawał się gorszy, niż na zewnątrz. Nonszalancki. Panujący nad sytuacją. Spodziewałam się drwin, może nawet się o nie prosiłam, ale niczego przykrego nie powiedział. Głos miał ciepły.

— Czy wyobrażasz sobie wiosnę bez ulotnego piękna motyli?

— Trudno, by mi było.

Obrzuciłam go spłoszonym spojrzeniem.

— Ej, Jane, niełatwo cię przekonać, ale uwierz, mam szczęście brać udział w czymś niezwykle rzadkim, w sprawiedliwej wojnie o przetrwanie. Motyle, nie są jedynie ozdobą. Są ulotne, jak poezja, jak nasze życie. Można się w nich zakochać od pierwszego wejrzenia, potrzebują miłości, miłosierdzia i mądrego czarodzieja.

Taki stary, a potrzebuje magii, by uzasadnić swoje racje...

I uśmiechnęłam się pobłaźliwie. Roth poprawił okulary na nosie, spoglądając na mnie z powagą i troską.

— Nie kończ, wiem, co chciałaś powiedzieć. Twoim zdaniem, motyle to przede wszystkim pożywienie dla wielu gatunków zwierząt, pełnią funkcję owadów zapylających, a ich brak zaburzy funkcjonowanie ekosystemu. To prawda, ale los dał mi niepowtarzalną szansę, aby je uratować, zanim wyginą bezpowrotnie. Są kruche, bezbronne, ich przyszłość jest zagrożona, jak nigdy dotąd, a przecież mogłyby władać

światem.

— Jesteś niepoprawnym fantastą, Roth — rzuciłam na pożegnanie.

— Czyń to, czego pragniesz, Jane. Wkrótce zobaczymy się znowu — odpowiedział.

Podniosłam brwi w geście zdziwienia.

Kilka miesięcy potem, w dzień targowy, kurier przyniósł przesyłkę, a z nią kolejny list od Rotha. Czytając, byłam wniebowzięta. *Jak on to zrobił? Taki sukces, dzięki uporowi!* Z radością na ustach pokazałam list mężowi. Aż podskoczył i zaczął wrzeszczeć:

— Już dawno porzuciłaś drogę rozsądku, a ścieżki, które obierasz nazwałbym halucynacjami! Co takiego ma w sobie ten motyli szaleniec? No, wyduś coś z siebie!

— No proszę! Ty i tak niczego nie rozumiesz — odpowiedziałam spokojnie, jakby do swoich butów.

Zaskoczony zamilkł na moment, oczy mu przygasty, w chwilę potem wybuchł trochę sztucznym śmiechem.

A ja myślałam, że go znam! Jest coraz gorzej, miłość milczy, stajemy się samolubni i obojętni. Moje życie wali się w gruzy, wtedy to sobie uświadomiłam.

Mój szalony mąż nie był w błędzie, osoba Rotha, nasza przyjaźń przyniosła głęboką i nieoczekiwaną zmianę, wzmocniła, była swoistym wyzwoleniem. Następny krok w miłość, beztroska i uwolniona, zrobiłam dużo później. A fascynacja motylami? To dziwna sprawa i totalne zaskoczenie, pomimo wątpliwości popchnęła mnie na front walki, zmusiła do podjęcia decyzji, które po czasie okazały się kluczowe. Chyba w ten sposób konstruuje się własny los?

Od tamtej rozmowy minęły przeszło trzy lata. Stało się, to co miało się stać, czarny piasek rozsypał się po kartach pamiętnika. Bojąc się kolejnego kryzysu, rozstałam się z mężem. Praktyczny zawód adwokata odłożyłam na półkę. Moje życie diametralnie się zmieniło, budowałam je od nowa. Znikły bolesne dylematy, wzięłam się w garść, starając się dostrzegać dobre strony wszystkiego, co życie niesie. A nauka, czemu nie. Przygodą życia stała się biologia, a mieszkanie na odludziu to dla mnie nie pierwszozna. Przeprowadzka do narożnego, skromnie urządzonego domu, tam gdzie kończy się Santa Cruz de Mompox, nie była uroczysta i nie odbyła się jednego dnia. To niewielkie kolumbijskie miasteczko z płataniną urzekających uliczek, zabudowanych białymi domostwami na początku wydawało się zimne, a ludzie tacy zajęci. Nic bardziej mylnego. Tu nas więcej łączy niż dzieli.

Roth pewnie wie o miłości więcej niż ja, przynajmniej gotowy jest dochodzić prawdy o niej, robić coś, ryzykować, ponosić konsekwencje. Zna znaczenie słów i gestów. Czasem mi się wydaje, że nie ma wad. Potrafi cieszyć się pięknem nieoczywistym, a jednocześnie jest wojownikiem, a to rzadkość.

Mam kilku uczniów i małe, dobrze wyposażone laboratorium, mówi z dziecięcą dumą. Niewygody zapewne rekompensuje mu rozległy, dziki ogród. Motyle, zanim staną się zdolne do lotu, wygrzewają się na

nim w południowym słońcu, z rozłożonymi płasko skrzydłami, przypominając miniaturowe panele słoneczne. Kiedy porankiem wychodzę na mokrą od rosy, przyległą łąkę i kładę się na jednym z rozsia-nych tam głazów, czując na twarzy pierwsze promienie słońca, dopada mnie uczucie, że wiele rzeczy w moim życiu też nie poszło źle. *Świat stworzył tak piękne rzeczy i dał mi oczy, by je zobaczyć.*

Gdy Roth pojawia się obok mnie, z filiżanką aromatycznej kawy i z grubym cygarem w zębach, odziany w śmieszny, przykrótki fartuch, spod którego sterczą owłosione łydki, nagle wszystko wydaje mi się pro-
ste, zwyczajne, a jednocześnie odświętne, niedzielne. Wyobraźnię i zmysłem obserwacji mógłby odzie-
lić wielu podobnych mu pasjonatów. Naukowa pasja entomologa znacznie wykracza poza kolek-
cjonowanie pięknych okazów dorosłych motyli. Badacze analizują cały cykl rozwojowy i odkrywają
coraz więcej tajemnic dotyczących tych owadów. To on krok po kroku wprowadzał mnie w ulotny świat
tych niezwykłych, zagadkowych owadów. Rzucił rękawicę, a ja ją podjęłam i jestem mu za to wdzięczna.

Świata motyli zrazu nie potrafiłam sobie wyobrazić, zrozumieć, podzielałam bezmyślnie bezlitosne spoj-
rzenie na porządek życia, kpiłam. Teraz widzę go w innym świetle: ma wiele barw, smaków i kształtów.
Odrzuciłam powszechnie znane tropy, poznałam tajemnicę słynnego magicznego pyłku pokrywającego
motyle skrzydła i już nie dziwi cud przepoczwarczenia się gąsienicy w pełnego gracji motyla. To świat nie
mający formy terytorialnej, na pewno potrzebujący pomocy. Żeby go opisać potrzeba grubej książki.

Ostatnia odsłona mojej historii sypie w narracyjne tryby. Mam wrażenie, że zabrzmia nierealnie jak bajka.
Aż trudno uwierzyć, że naprawdę się zdarzyła.

Niedziela, a dokładnie był to niedzielny, letni poranek. Początkowo otulony mgłą, potem słoneczny bar-
dzo gorący i wilgotny, jak to w Kolumbii.

Przyniósł przedziwne zdarzenia na plaży. Na tej samej, ciągnącej się w nieskończoność, na której po raz
pierwszy spotkałam Rotha. Tamtego dnia, niepodobnego do innych, całe to miejsce było wypchane ciel-
skami, ramię przy ramieniu. Trudno było się poruszać. Czemu tam poszłam? Chyba musiałam sobie coś
wbić do tego głupiego łba lub kierować się odruchem chwili, bo nie była to dobra pora na spacer, a na
pewno nie na odpoczynek. Już miałam zawracać, gdy w górze rozległ się trwożony trzepot tysięcy
skrzydeł. Uniosłam głowę. Goniłwa myśli.

— Nie, to niemożliwe!

Ledwie mogłam uwierzyć, mój oddech się skrócił. *Chyba tylko czarownica mogła przygonić na za-
tłoczoną po brzegi plażę wielką chmurę czarnych motyli?! Co one szykują?*

Stałam jak wmurowana w piasek, ze wzrokiem utkwionym w dali. Ożywienie, gwar, podniecone
krzyki, śmiechy, gwałtowne piski. To plażowicze wpadli w popłoch i w oka mgnieniu rozpierzchli się.
Wszystko odbywało się jak we śnie, trwało może kilka minut. Zostałam sama, plaża nareszcie tchnęła
spokojem. Nic nie powstrzymało kontemplacji, piasek lśnił, wszystko zdawało się należeć do jakiejś
ulotnej atmosfery. Motyle wyglądały w swojej masie upiornie, niczym wdowi, czarny welon trwożliwie

łopocący na ciepłym wietrze. Nie był to przyjemny dla oka widok: owłosione czułki i nieproporcjonalnie duże, szeroko rozstawione skrzydełka, zero motylego wdzięku. Po raz pierwszy widziałam ich tak wiele, niektóre w słońcu wydawały się półprzezroczyste.

W kulturach prekolumbijskich takie, albo bardzo podobne motyle malowano na ścianach jaskiń, jako że uważano je za zwierzęta posiadające cechy magiczne. Używane były do przepowiadania pogody, określenia daty ślubu młodych kobiet. Nazywano je także *duszami natury*. Zgodnie ze starą kolumbijską legendą czarny motyl przynosi złe nowiny. Inny mit mówi, że proszek, jaki pozostawiają skrzydła czarnego motyla, powoduje ślepotę. Kiedyś, na pytanie, czy mogę otworzyć okno i wypuścić czarnego motyla, usłyszałam od oddanej pomocnicy, że lepiej nie, bo motyle te znikają same. Wiedziałam, że żyję w kraju realizmu magicznego, ale nie mieściło się w głowie, że motyl może zniknąć w czarodziejski sposób.

Pewnie zdechnie z głodu i spadnie gdzieś na podłogę, a ja przy generalnych porządkach lub przeprowadzce znajdę go w jakimś kącie, pomyślałam, tłumacząc sobie jak dziecku.

Strach, jaki wywołują u miejscowych czarne motyle nie był dla mnie nigdy problemem, nawet, gdy po kontakcie z czarnym motylem zmarł Mario, syn mojej gospodyni.

Gdy patrzyłam na to motyle zbiegowisko, coś zupełnie innego mnie zaintrygowało:

Czarne jak smoła, wielkości dłoni bez palców. Na skrzydłach, ani na grzbiecie żadnego rysunku, do złudzenia przypominają babcine broszki z czarnego aksamitu. Czegóż się lękają, są odrętwiałe, z trudem poruszają skrzydłami? Czemu właśnie na plaży chcą zakończyć swoje krótkie życie? To wbrew ich zwyczajom i dlaczego tak tłumnie?

Serce z emocji zaczęło bić szybciej. Gwałtowne przemyślenia przerwało ukłucie ostrego źdźbła trawy w stopę.

— Cholera!

Ból był nie do opisania, ale starałam się wytrzymać, nie tracąc zimnej krwi.

Niezwykła okazja, spada jak z nieba, a ja, co? Stchórzę, teraz? Nie, to zbyt głupie...

Wybrałam drogę tak, by ani na chwilę nie stracić motyli z oczu. Kuśtykając, przesunęłam się kilka kroków w przód, starając się nie robić hałasu. W zasięgu wzroku siedziało ich ze trzydzieści. Spokojne i niezależne, pełne elegancji, jak na zdjęciu zrobionym z małej odległości. W swojej naiwności, wydawało mi się, że porośnięta trawą wydma jest wystarczającą osłoną. Zgrzyt piasku pod stopami i szelest poruszonej podmuchem wiatru trawy zrobiły swoje. *Co za nieostrożność!*, zganiłam się w duchu.

Rozległo się, jakby ciche gwizdnięcie, potem drugie. Brzmiało jak sygnał do odlotu. Motyle poderwały się w pośpiechu, wykonując tuż nad ziemią szalony taniec. Oślepiający błysk rozpostartych skrzydeł i ten przenikliwy, kłujący w uszy dźwięk stał się nie do zniesienia. Dryfująca wielka płachta leciała wprost na mnie. Zakotłowało się w powietrzu, nie umiałam się opędzić od pędzących na oślep owadów. Spanikowana starałam się z całych sił utrzymać równowagę. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Opadając na ziemię, nerwowo ocierałam zimny pot z czoła, tylko tyle zapamiętałam. Gdy oprzytomniałam, mój wzrok spoczął na lądującym na ramieniu wielkim, czarnym motyłu. Wydał się wyjątkowo piękny, nieprzenikniony, wytrzymywał wszystkie porównania ze znanymi mi dotąd. Zapanowała ciężka, gęsta cisza. Oto zostaliśmy

sami w sercu nadmorskiej plaży.

— Co tu robisz? Skąd jesteś?

Motyl drgnął, rozpostarł skrzydła i wzleciał, jakby wskazując drogę. Poruszał się z niezwykłą gracją, szybko pnąc się ku chmurom. Potem zatoczył koło i na krótką chwilę straciłam go z oczu. Zanim porzuciłam myśl, że na zawsze, wrócił i spoczął na ramieniu. Było w nim coś dostojnego. Ruchy czarnych skrzydeł lekkie, jakby zbudowane z niczego. *Może chce mi coś przekazać? Z każdą następną myślą ogarniały mnie coraz większe emocje, nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Dało to dziwny efekt: jak gdyby, coś nieuchwytnego nagle przeniosło mnie poza realny świat, jakbym rozpostarła skrzydła. Pozbawiona cielesności unosiłam się nad niedostępnymi dla oka przedmiotami, pochylając się i wykonując nieokreślone ruchy. Nagle głowa znalazła się między kolanami. Pojawiły się jakieś słowa, znaki, błyski, lustra, kilka luster. Odbierałam je wszystkimi zmysłami niczym tajemniczą krzątaninę wokół jakiś niematerialnych spraw, niemających związku z ziemskim życiem. Pod przymkniętymi powiekami czerwona kula słońca płonąca w koronach drzew przybliżała się i oddalała aż znikła za horyzontem. Zapanowała bezgwiezdna noc. Nie przytłaczała, wręcz odwrotnie, była olśniewająca, oślepiła. Zastygłe krople światła znaczyły drogę zygzakami. Mój czarny motyl prowadził mnie w ciemności korytarzy rozległej świątyni. Przez moment wydała się znajoma. *Baptysterium Notre Dame? Louvre? Paryż? Posągi i popiersia postrącanych bogów? Już niczego nie poznaję, jest mi tak dobrze, płynę ku przeznaczeniu, mogę zajrzeć w ten wyższy, lepszy świat, upewnić się, że jest ...**

Nie wiem, ile trwała ta wędrówka. Z cudownego letargu ocuciła eksplozja ćwierkania. Ptaki, jak zwykle wyprzedziły wschód słońca. Chłód poranka i głosy dziesiątki kolumbijskich chłopców z sąsiedztwa maszerujących brzegiem dopełniły dzieła. Usiadłam, odruchowo zerkając na odkryte ramię. Coś łąziło po nim, niczym wielka, czarna, kosmata ćma. Zawzięty owad, nieprzypominający w niczym motyla nie dawał się zepchnąć w trawę. Dotyk ręki wyraźnie zachęcił go do poufałości. Bystre oczy uparcie śledziły moje ruchy, jakby o coś prosiły.

— Nie rozumiem, nie rozumiem! — wyszeptałam, nabierając powietrza w płuca.

Owad zastygł w bezruchu. Opadły myśli, których nie potrafiłam się pozbyć. Zapanowała cisza, na tle, której chrząknięcie Rotha, wychodzącego z zarośli, zabrzmiało jak grzmot.

— Co mu jest? — zapytałam drżącym głosem.

— Co ma być? Umiera.

Odpowiadając, Roth zrobił minę, która mówiła sama za siebie. Chwytałam go mocno za łokieć, oczy napęłniły się łzami.

— Pomóż mu, błagam! Masz swoje metody!

— Nic tu nie poradzę, ale zabraniam ci rozpaczać. Napisane jest po hebrajsku: *Jeśli myślisz, że jesteś zdolny niszczyć, pomyśl i o tym, że jesteś zdolny odbudować.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JOLA S., dodano 02.07.2020 11:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.